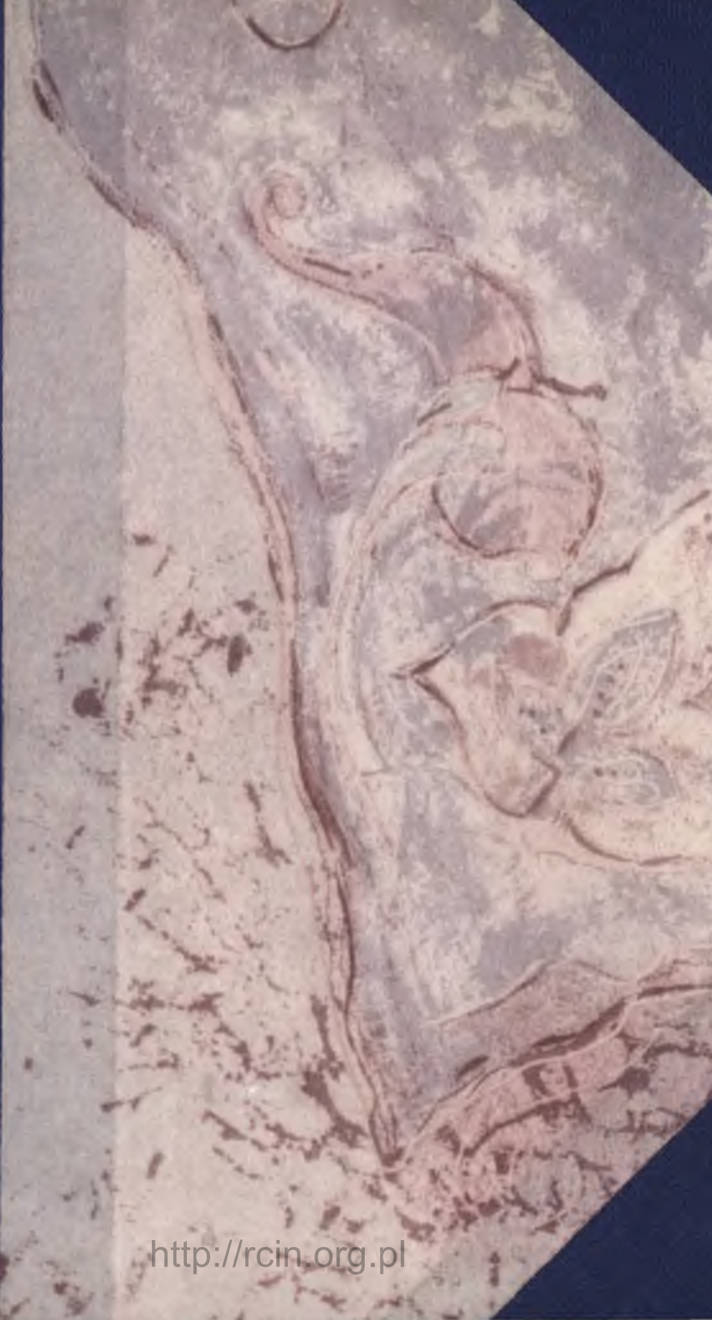


BIBLJOTECZKA GAWĘD I POWIASTEK ŻYDOWSKICH.

CÓRKA HANDLARZA

OBRAZEK

z czasów ostatniej epidemii w Warszawie

SKREŚLONY

PRZEZ

Józefa Goldszmit.

WARSZAWA.
Skład główny w księgarni **Gebethnera i Wolffa.**

1868.

BIBLJOTECZKA GAWĘD I POWIASTEK ŻYDOWSKICH.

CÓRKA HANDLARZA

OBRAZEK

z czasów ostatniéj epidemii w Warszawie

SKREŚLONY

PRZEZ

Józefa Goldszmit.

WARSZAWA.
W DRUKARNI ALEXANDRA GINSA.

1868.

Дозволено Цензурою.

Варшава 7 Октября 1867 года.

I.

Na ściennym zegarze wybiła 1-sza po północy. Siedziałem w oknie i dumałem. Noc w wielkiém mieście jakże magiczny wpływ na wyobraźnię wywiera! Upaja ona, przygniata niemal wielkością swoją, która już nie rozprasza się w drobnych szczegółach, ale ciemnością zlewa potężne massy murów w jedną całość, ulice między temi brzegami z kamienia do nieskończoności wydłuża, a uilluminowawszy je dwoma ginącemi w dali szeregami gazowych płomyków, cichością wprowadza cię jakby w oczekiwanie jakiegoś średniowiecznego dramatu, mającego się tutaj rozegrać, do czego jeszcze bardziéj przysposabia odległy szczęk broni czuwającej straży.

Wiele już pisano o wdziękach nocy na wsi. Rozległe łany w falowaniu swojém, srebrzone światłem księżyca, ciemny bór, w oddali się rysujący, pojedyncze drzewa i krzewy, malowniczo ugrupowane, z których niekiedy wybiega melodyjna piosenka słowika, a nad tém wszystkiém kryształowe

niebo i wielki księżyc, poważnie i cicho po toniach jego płynący i gwiazd mirjady, które pilnują spokoju na ziemi.

Obraz to poetyczny bardzo i słodko a tęskno do duszy przemawia. Lecz jeżeli powabną jest noc na wsi, to noc w mieście jest wielką.

Turkot, wrzawa, okrzyki, wołania, szybkie mijanie się ludzi, koni i wozów, oto akcessorja konieczne wielkiego miasta, które w imaginacyi naszéj tak się z niém zrosły, iż ich prawie oddzielić nie potrafimy. Kiedy więc po całodziennym takim gorączkowym niemal ruchu natura odniesie nad czynnością człowieka zwycięztwo, kiedy głęboka cisza zalegnie wszystkie, tak pełne ruchu i wrzawy ulice i place, kiedy ostatnie echa dziennych głosów ucichną, skonają w powszechném milczeniu, zawrót jakiś opanowywa cię na chwilę. Co się zrobiło z tém życiem, tak silnie się objawiającém? Gdzie znikły te różnorodne tłumy, przed chwilą tak ruchliwie biegające w tę i ową stronę, rozpychające się, wołające, rozmawiające? Gdzie znikła błyskotliwa świetność domów, podniesiona pełnemi blasku wystawami? Wszystkie te niespokojne obrazki zgasły, ściemiły się i ustąpiły miejsca poważnéj i uroczystéj ciszy. Tylko gdzieś w głębi tych gigantycznych mass kamiennych domyślasz się jeszcze

życia, ale życia pulsującego inaczej już, jak w dzień. Tam rodzina, tam spokój.

Takim strumieniem płynęła myśl moja. Nie sterowałem nią wcale. Poddałem ją tylko potędze wpływu téj nocy wielkiego miasta, a sama pobiegła naprzeciw tego tak wymownego milczenia, sama kąpała się we wrażeniach, jakich pełne były ciemności.

Nagle zbudził mię silny stuk w bramę i niewyraźnie dolatujące wołania. Nadstawiam bacznie ucha: „Ratunku! przez Boga! Mąż mój i córka na cholerę zasłabli“ te słowa, rozdzierającym wyrzeczone głosem, zdołałem wyraźniéj rozróżnić. W wiliję dnia tego zapisałem się do cholerycznych dyżurów i dzisiejszéj nocy właśnie z obowiązku czuwałem. Porywam za czapkę i zbiegam do sali dyżurnych, w tym samym domu, w którym mieszkałem, będącéj, wiedząc, iż powinnością moją nieść pierwszą pomoc nieszczęśliwym, zanim współtowarzysze uprzedzą doktora i na ratunek go wezwą.

II.

Zastałem nieszczęśliwą w sali oczekującą pomocy dla choréj rodziny. Przerażona, zbladła, napół zaledwie ubrana, posłużyćby mogła za model

do statuy zalęknienia. Wargi jéj zsiniałe drżały, oczyma niespokojnie rzucała na nas, lub oglądała się za siebie, w stronę, gdzie był jéj dom, gdzie straszliwa choroba groziła jéj wydarciem wszystkiego, co ukochała na ziemi. Ręce jéj i nogi tak osłabły, iż wracając, oprzeć się na mnie musiała, aby nie upaść. Dotąd w umyśle moim odtwarza się niekiedy cały ten obraz, jak sen fantastyczny, dotąd zarówno zajęcie i przykre budzi we mnie uczucie. Ta sala dyżurów, ponurém światłem nocnéj lampy oblana, wśród któréj przyparte do ściany swieżo zasłane łóżka, przygotowane do przyjęcia chorych, którzyby na ulicy zasłabli, i zdające się jakby przyzywać chorobę, ta szafka w kącie z mixturami, octami, spirytusami i całym złowieszczym przyborem środków, o obecności straszliwéj plagi i o potędze jéj zarówno mówiących, ci ludzie, siedzący i walczący w ostatnim wysiłku z bezsennością, która ich od kilku nocy już dręczy, ten głos grobowy starego żyda, który ciszę dźwiękami psalmów Dawida przerywa, i na tém całém, wpół śpiącém, wpół ponurém tle jeden obraz z życia, z życia gwałtownie nawet rozexcytowanego, ale obraz, który bardziéj jeszcze trwogą i dreszczem przejmował. Ta kobiéta z załamanemi rękami, w niełądzie rozrzuconym włosem, okiem suchém,

ale tak strasznie wymownem, wszystko to w najmniéj wrażliwym wywołałoby jakieś uczucie.

Jeden z obecnych zerwał się na równe nogi i pobiegł po doktora, drugi wraz ze mną poszedł za nieszczęśliwą, zabrawszy z sobą parę flaszeczek z pierwszemi zaradczemi środkami.

III.

Za zbliżaniem się kobiéty do domu, niespokojność jéj rosła coraz bardziéj. Chód jéj był nierówny. To drżąc z niecierpliwości, wyrywała się i biedz chciała do męża, to osłabiona niespokojnością i trwogą, zwalniała kroku i bezwładnie wspierała się na ramieniu towarzysza. Chcąc ją nieco otrzeźwić, zacząłem rozpytywać o przyczyny choroby i jak dawno się ona objawiła. Dowiedziałem się, że córka zasłabła o 10-téj wieczorem, a mąż o 12-téj, że jedli na kolację rzodkiew wczoraj kupioną, a potém jeszcze litościwa sąsiadka dała im parę ogórków, wiedząc, iż są tak biedni, że nigdy zbytku w jedzeniu nie mają.

— Jakże można być tak nieostrożnymi! — zawołałem. — Wiedząc, iż epidemja panuje, tak lekkomyślnie narażać się na niebezpieczeństwo.

— Eh! albo to jadło może szkodzić? Kto ma zachorować, to zachoruje. Komu Bóg przeznaczył być zdrowym, to choćby samemi owocami, jarzynami i wodą żył, to jeszcze zdrów będzie; kto zaś ma cholery dostać, to choćby najbardziéj się wystrzegał, to dostanie; — odparła kobiéta.

— Jednakże, na tyle wypadków cholery, przy których byłem obecny, nigdy nie zdarzyło mi się widziéć, ażeby słabość zaszła bez przyczyny, — dorzucił mój towarzysz z dyżuru.

— Łatwo to przyczynę wynaléźć, jak ktoś już zachoruje, ale darmo się trudzicie, jeżeli przekonać mię chcecie, że to ogórek, lub szklanka wody zabija. Bóg tak chciał i koniec. Na równéj drodze można nogę złamać.

Opryskliwy ton i niecierpliwość, z jaką odpowiadała, przytém pewność, dowodząca, że przekonania jéj w tym przedmiocie oddawna już były ustalone, jasno wskazały mi, że dalsza rozmowa do niczegoby nie doprowadziła, bo źle zrozumiana religijność, przerodzona w jakiś zgubny fatalizm, zaślepiła nieszczęśliwą, która zresztą może prędzéj byłaby posłuszną hygienicznym przepisom, gdyby nędza nie kierowała nią w wyborze pokarmów, usuwając wszelkie inne względy.

Otóż więc dwa najgłówniejsze motywa wszystkich klęsk, gubiących wszędzie lud prosty: nędza, i córa jéj, ciemnota. Gdzie zetkniesz się z nieszczęściem w téj klassie, pewno 90 na 100 razy o dwie te plagi straszliwe potrącisz.

Tymczasem doszliśmy do jakiéjś dużéj i porządnéj kamienicy. Już tylko parę kroków mieliśmy zrobić, kiedy kobiéta, wsparta na mnie, nagle wyrwała się i pobiegła naprzód, wołając: „Mój mąż, moja córka!“ Nieszczęśliwéj zdawało się, że ktoś ją wzywał.

Poszliśmy za nią. Z samego wchodu uderzył nas tak przykry zaduch, iż jakby odepchnięci, cofnęliśmy się ze wstrętem. Lecz wnet przełamawszy w sobie to uczucie wspomnieniem na obowiązek i litość, weszliśmy. Zeszedłszy z kilku nadgniłych schodków, znaleźliśmy się w dość obszernéj, lecz nadzwyczaj nizkiéj suterenie. Na ścianach jéj baltazarowemi głoskami popisała wilgoć swoje ślady. Zaduch, zgnilizna, powietrze najgorsze, w stancyi nieład, nieporządek, nieczystość; około łóżek z dwoma chorymi takie mnóstwo ciekawych sąsiadów, znajomych, że przecisnąć się trudno; wszyscy przybyli niby z życzliwości, a w istocie dla zaspokojenia jakiéjś ciekawostki bezcelowéj i próżniaczéj, i oddechem swoim zatruwali bardziéj jeszcze powietrze

i tak już pełne najniezdrowszych miazmatów; w jednym kącie pokoju mnóstwo staréj cuchnącéj odzieży, dowodzącéj, że chory jest tandeciarzem; w drugim—balje, z pozostawioną w wodzie bielizną, exhalującą przyjemniejsze jeszcze wyziewy. (Żona chorego była praczką). Oto całość, która od razu wszystkie zmysły moje uderzyła.

Niechlujstwo — to trzecia towarzyszka nędzy i ciemnoty.

Pierwszą moją czynnością było postarać się o zmniejszenie towarzystwa, zapełniającego izbę. Pousuwali się widzowie, ale nie bez chwilowego przynajmniéj oporu i okazując wyraźne znaki nieukontentowania. Pozostał tylko młody chłopak, około 19 lat mający, który siedział przy łóżku dziewczyny. Kiedym go wzywał, aby się wraz z drugimi oddalił, odpowiedział mi cierpko; „Ja jestem narzeczony Mirjam, to pozostanę przy niéj, chociażby sam doktór przyszedł“.

Wtedy dopiéro przystąpiliśmy do chorych. Towarzysz mój rozlał po podłodze kwas fenilowy dla oczyszczenia powietrza, i dał dziewczynie, w któréj symptomata choroby dość były lekkie, nieco ciepłéj wody i jakieś lekarstwo na wymioty, którego szybki skutek, jak się zdaje, bardzo się przyczynił do uleczenia jéj; następnie—z pewną wprawą

i znajomością rzeczy zajął się rozgrzewającemi nacieraniami dla starego, któremu kurcze sprawiały straszliwe boleści.

Niewprawną ręką pomagając memu towarzyszowi, podziwiałem jego zimną krew, odwagę i pewność siebie w wyborze środków. Krótki czas trwania cholery oznajmił go z niemi tak, iż nie wahał się ani chwili w ich doborze. Widocznie człowiek ten stworzonym był na doktora, — a był starszym subjektem jakiegoś kantoru, czy sklepu. Ilużto ludzi w ten sposób chybia swego powołania.

Tymczasem nadszedł lekarz ***. Obejrzawszy chorych, pokiwał głową w sposób bardzo znaczący, a kiedym go zapytał, czy rokuje jakie nadzieje co do wyzdrowienia tandeciarza: „Jutro z rana już myśléć będziecie o pogrzebie“, odpowiedział zcicha. Nieszczęśliwa żona przeczuciem poznała z twarzy naszéj i przedmiot zapytania i odpowiedź, która była dla niéj wyrokiem wdowieństwa; jednak przez wzgląd na chorych wysileniem woli powstrzymała łzy, gwałtownie cisnące się do oczu. Doktór następnie zbliżył się do łóżka dziewczyny. Wtedy dopiéro zwróciła ona twarz swoją, iż mogłem się przyjrzéć lepiéj rysom jéj. Choroba, ile że krótka, nie pozostawiła na nich żadnych prawie śladów.

Tylko lekkie gorączkowe rumieńce ożywiały nieco jéj bladość i podnosiły wdzięki.

Czysto zarysowane kontury, czoło—prawie że prostokątne i broda lekko naprzód podana znamionowały silną wolę, energję i pojętność. Ale najwięcéj wdzięku dodawały jéj oczy czarne, pełne ognia, choć teraz nieco stłumionego fizyczném cierpieniem, i zdolne do okazywania miłości zarówno w jéj najczulszych, najrzewniejszych objawach, jak i w uniesieniu gniewu, nienawiści i zazdrości. Zresztą, drobne jéj i wynędzniałe kształty wskazywały istotę słabowitą, efemeryczną, mało co ziemskiém życiem, a więcéj sercem i myślą żyjącą.

Wszystkie te spostrzeżenia teraz dopiéro miałem czas zrobić, gdyż do czasu pierwszych zapytań doktora, Mirjam wciąż odwróconą była do ściany.

— *Jak stara jest* ta dziewczyna? — spytał doktór (*).

— Ona *jest 16 lat stara*, — odpowiedziałem z przyciskiem, wiedząc ten szczegół od matki, i zdziwiony, że szanowny konsyljarz tak niemieckiego stylu używa. Ze spojrzenia, jakie rzucił na mnie, wyczytałem, iż domyślił się, jaka myśl kierowała moją odpowiedzią, w tymże samym stylu sformułowaną.

(*) Autentyczne.

Na wiadomość o blizkiéj śmierci męża nieszczęśliwa kobiéta, tłumiąca przez jakiś czas swą boleść, już głośnym płaczem gotowa była wybuchnąć, kiedy zwróciłem jéj uwagę, iż to zaniepokoi Mirjam, nie wiedzącą jeszcze o grożącém tak blizkiém nieszczęściu. To ją cokolwiek uhamowało, tém bardziéj, gdy i doktór słowa moje potwierdził.

— A córka będzie żyć? — pytała głosem przerywanym tłumionemi łkaniami.

— O nią możecie być spokojni, — odpowiedział doktór i wyszedł, przyrzekając swą wizytę na rano.

Pozostałem z mym towarzyszem, aby czuwać podczas nocy.

— Mamo! proszę mi pić dać, — słabym głosem zawołało dziewczę.

Narzeczony podał jéj kubek. Ale Mirjam, spojrzawszy na osobę, od któréj kubek ten brała, odwróciła się nagle nazad do ściany, nie zaspokoiwszy pragnienia. Wtedy wziąłem szklankę z miętą i podałem jéj. W oczach jéj tyle wyczytałem ukontentowania, tyle tryumfu nad upokorzonym młodzieńcem, że zainteresowało mię żywo to przyszłe stadło, pod tak niekorzystnemi wróżbami skojarzyć się mające. Żadnego prawie baczenia nie dawałem dotąd na młodzieńca, u łóżka choréj

siedzącego. Teraz postanowiłem pilniéj mu się przyjrzéć. Mimo pospolitych rysów twarzy był on dość przystojnym, tylko oczy, biegające nieufnie i jakoś nienawistnie na ludzi patrzące, odstręczać by mogły od niego wszystkich. Na jednę bowiem Mirjam tylko kiedy patrzał, wzrok jego stawał się tak palącym, namiętnym, przenikającym, że zdawał się obejmować nim i przenikać na wskróś całą dziewczynę, a Mirjam, spotkawszy się przypadkiem z tym wzrokiem, rumieniła się cała i gwałtownym, a pełnym niechęci ruchem odwracała ku ścianie.

Boleści i kurcze chorego wzmagały się z każdą chwilą. Twarz jego tak wielkie wyrażała cierpienie, iż towarzysz mój, stosownie do zalecenia lekarza, który wypadek ten przewidywał, postanowił złagodzić je ostrożném użyciem chloroformu. Jakoż w istocie, pod wpływem tego dobroczynnego, choć bardzo niebezpiecznego środka pacjent zaczął usypiać. Była już blizko 3-cia po północy. Matka łóżko swoje gościnnie odstąpiła narzeczonemu, a sama usiadła przy mężu ze szczerém postanowieniem czuwania nad nim. Jednakże znużenie, zmęczenie zarówno fizyczne, jak i moralne przeszkodziły jéj w spełnieniu tego zamiaru. Wkrótce usłyszeliśmy równy jéj oddech, dowodzący, iż siedząc, usnęła.

Poprzedzili ją jeszcze młodzi narzeczeni.

IV.

Tak więc w całéj suterenie pozostaliśmy tylko we dwóch czuwających: mój towarzysz dyżurny i ja. On—nieco już z bezsennością obeznany, ja—zajęty myślami nad mojém nowém posłannictwem, które mię stawiało w możności poznania ludzi nie tylko takich, jakimi widzimy ich w życiu pozadomowém i w pełni sił, kiedy na każde ruszenie swoje, na każdą modulacyę głosu dać mogą baczenie i naginać je do okoliczności, ale wtedy nawet, kiedy powaleni chorobą, zgnębieni myślą o śmierci, już się nie kryją w sobie, bo tego rodzaju starania i troski byłyby za błahemi dla nich. Teraz dopiéro mogłem studjować z jak największą, ile można, dokładnością, życie człowieka w rodzinie, stosunki rodzinne w rozmaitych swych fazach, a nadewszystko, ten najciekawszy moment krytyczny, to wielkie przejście, po którém pozostaje z człowieka już tylko glina; — mniéj niż obraz nawet, bo z obrazu tryska myśl jeszcze pełna życia, mówiąca o obecności, o przytomności osoby, którą przedstawia, podczas kiedy zwłoki zmarłego mogłyby tylko za wzór do statuy na jego grobowcu posłużyć; bo na zwłokach tych życie i śmierć zmarszczkami,

siwizną, bladością wypisały całą swą historję. Dumania moje przerwało prozaiczne zapytanie mego towarzysza:

— Nie chce się panu spać?

— Mnie, bynajmniéj. Nawet mi się nie nudzi.... — odpowiedziałem z uśmiechem.

— Czy to mam brać za znak, że pan chcesz pozostać sam ze swemi myślami i życzysz sobie, abym mu nie przerywał.

— Nie, téj myśli nie miałem, — odparłem, zmieszany trochę, że mię tak łatwo odgadnięto.— Sądziłem tylko, że panu się spać chce, i dla tego mnie pan pytasz, abym go w czuwaniu wyręczył, a w potrzebie obudził.

— A! nieśmiałbym panu czegoś podobnego proponować.... Bo gdybym się nie czuł w możności wytrwania noc całą, tobym się tego nie podejmował.

— Jednakże, kiedy wszyscy śpią, to czuwanie jednego byłoby dostateczne? — zapytałem.

— Niewątpliwie. Ale gdyby ten jeden także, choćby mimowolnie, usnął, toby obaj wybornie reprezentowali miłosierdzie.... A tak, jak obaj czuwamy, to jeden drugiemu usnąć nie pozwoli.

— Więc pan obawiałeś się, abym nie usnął?

— I sądzisz pan, żem dla tego przemówił?

—Być może, iż w części masz racyję. Pan pierwszy dopiéro raz probujesz swéj wytrwałości, więc chciałem rozmową trochę dopomódz nam obu do odpędzenia snu, klejącego powieki, ale przedewszystkiém chciałem pomówić z panem o tym pięknym pomyśle, prawdziwie ludzkim, do którego przeprowadzenia i my się w téj chwili przyczyniamy, a przedewszystkiém, użalić się na szczupłość funduszów, jakiemi rozporządzają nasze choleryczne dyżury.

— I jakież są środki zwiększenia ich? — zapytałem.

— Nie do mnie należy wyrokować o tém. Jednakże, sam fakt zasmuca mię mocno, i rad bym był, aby ludzie, którzy mają dość, czy to wpływów, czy osobistego majątku, szczerze zajęli się tą sprawą.

Podzielałem z całego serca życzenia mojego towarzysza i sam myśléć zacząłem, jakimby sposobem zainteresować ogół w téj kwestyi, kiedy nagle chory ocknął się koło godziny 4-téj z rana, a natychmiast, jakby przez elektryczne oddziaływanie, zbudziła się żona jego, przez sen jeszcze czująca lekką zmianę w pozycji męża.

— Czy pragniesz czego, mężu?

Chory nadspodzianie okazał się tak mocnym, iż sam siadł na łóżku. Żona zerwała się z radości i podziwienia.

— Czy śpi Mirjam? — zapytał handlarz.

— Śpi; ale mogę ją obudzić.

— Nie trzeba. Biedne dziecko chore, zmęczone, potrzebuje spoczynku i sił. Jak przez sen przypominam sobie, że doktór mówił, iż będzie zdrowa. Chciałem mu podziękować,—ale tak cierpiałem, że nie mogłem słowa wymówić.

— Więc ty nie spałeś, mój mężu? A myśmy sądzili, iż leżysz bez przytomności.

— Czy jest tu Moszek? — pytał daléj chory.

Narzeczony Mirjam wstał już i zbliżył się do łoża chorego.

— Jestem; — cichym głosem powiedział.

— Moszku! twój ojciec był bardzo poczciwy człowiek. Z nim jeszcze umówiliśmy się, iż was z sobą połączymy. Późniéj ojciec twój wkrótce przed śmiercią zbiedniał. Ja jednakże nie przestałem cię uważać za mojego zięcia, choć byłem daleko bogatszy od ciebie. Późniéj pożar i kradzież zrujnowały mię tak, że córce mojéj posagu dać nie jestem w stanie; — wiesz o tém. Wiesz także o tém, iż małżeństwo odłożyliśmy do czasu, aż będziesz mógł zapracować tyle, aby dla was obojga wystarczyło. Wiem, iż jesteś zabiegłym i oszczędnym chłopcem i że dorobisz się mienia. Pamiętaj tylko, abyś szedł zawsze uczciwą drogą. Ja mam

już tylko chwil kilka do życia. Najwyższy wysłuchał méj prośby, w pośród cierpień gorąco do Niego zasyłanéj i pozwolił przed skonem raz jeszcze z wami pomówić. Ale nie umrę spokojny, póki mi nie przysięgniesz, że względy majątkowe nigdy dla ciebie przeszkodą nie będą w zaślubieniu Mirjam; że, choćbyś miał większy daleko majątek, niż ona, jednakże nie będziesz się wahał za żonę ją pojąć. Ja to przysiągłem przy łożu twego umierającego ojca,—ty to samo przedemną umierającym poprzysiąż.

— Przysięgam! — zawołał Moszek i spojrzał na Mirjam takim wzrokiem, że dziewica, głosem jego zbudzona, aż drgnęła pod tém wejrzeniem.

— Czy woła mię ojciec? — pytała.

— Moszku! pamiętaj o mojéj żonie, aby jéj nasze bractwo handlarzy regularnie po méj śmierci pensję wypłacało; — mówił starzec. — A teraz... żegnam was... Mirjam... żegnam cię... żono... tam....

I ręka jego podniosła się w górę, spojrzał na niebo i zamilkł nagle, strasznemi torturowany kurczami. Chwil kilka jeszcze na twarzy jego widać było okropną walkę. Cienie śmierci łamały się tam z resztkami ulatającego życia i jak obłok osłaniały oblicze. Kurcze wzmagały się widocznie

i ustały, ścisnąwszy za serce. Starzec zrobił ostatnie, rozpaczliwe wysilenie woli. Słowa: „Szema Israel!“ wydarły się przerywane z zaciśniętych konwulsyjnie ust. Nagle ręka jego, dotąd dręczona kurczami, ściągnęła się gwałtownie ku sercu. Krzyknął. Krzyk ten, póki żyć będę, nie zatrze mi się w pamięci. Dźwięk jego dotąd brzmi w moich uszach i z żadnym innym porównać się nie da. W téj chwili chrapliwy oddech jego ustał, oczy kołem stanęły, całe ciało wyprężyło się, a lekka piana ukazała się na ustach.

— Umarł! — zawołała żona, która dotąd powściągając się, teraz głośnym załkała płaczem.

— Ojciec mój umarł! krzyknęła Mirjam i rzuciła się bezprzytomna prawie ku ciepłym jeszcze zwłokom.

W téj chwili w ciele objawił się ruch jakiś; matka zbladła i cofnęła się w walce między obawą a nadzieją; córka powstrzymała oddech i przyglądała się ojcu.

— Może jeszcze żyje? — spytałem zcicha mego towarzysza.

— Zobaczmy, — odszepnął mi i w téj chwili zmaczał w zimnéj wodzie prześcieradło, i wezwawszy pomocy méj, owinął niém zmarłego. Przez chwilę trzymaliśmy prześcieradło wraz ze złożonemi

tam zwłokami w powietrzu zawieszone. Pod prześcieradłem widać było wciąż jakieś ruchy. Zauważyłem kierunek ich. Zesztywniałe od kurczów członki zwolna odzyskiwały swą elastyczność i bezwładnie zwisały ku ziemi. Najwidoczniéj opadła głowa w ten sam sposób. Kiedy ruch ustał zupełnie, odkryliśmy prześcieradło.... Ciało było już zimne. Oczy—w chwili skonu otwarte, zamknęły się.

— Kiedyśmy owijali prześcieradłem, czułem jeszcze lekkie bicie serca, — powiedział mój towarzysz. — Przez czas, jakeśmy nieboszczyka trzymali, kurcze rozwinęły się w nim nazad, jak węzły, przez chwilę zbyt silnie ściągane. One to go zabiły, postępując od kończyn ku sercu, i teraz się rozchodziły odwrotnym porządkiem. Dokonały już swego.

Nie będę wam opisywał, kochani czytelnicy, rozpaczy pozostałych: wdowy i sieroty, Obrazy to aż nazbyt częste, ażeby je jeszcze, choćby w opisach, powtarzać; aż nazbyt smętne, ażeby się w nich lubować.—Staraliśmy się wraz z moim towarzyszem pocieszyć je, o ile to było w naszéj mocy. Dopomógł nam nieco lekarz, który wszedł w téj chwili i zapisał nawet jakąś uspakajającą receptę dla obu kobiét i nadto kazał im, a szczególniéj Mirjam, dzień ten spędzić w łóżku. Lekarz wyszedł, zajęty

licznemi wizytami. Za nim cichaczem wyniósł się Moszek, który od chwili śmierci jak bezprzytomny stał w osłupieniu przy łożu zmarłego; a i nas zluzowali wkrótce znajomi sąsiedzi i sąsiadki, którzy przyszli złożyć na ziemi nieboszczyka i pocieszyć pozostałych po nim.

V.

Nazajutrz po opisanych wypadkach, siedziałem w elegancko umeblowanym gabinecie, z człowiekiem, który zamożnością swoją, wpływem, rozległemi stosunkami i niezmordowaną działalnością największą oddał usługę klassie ubogiéj, straszną dotkniętéj klęską. Kiedy uniesiony młodzieńczym zapałem, w jaskrawych barwach odmalowałem mu świeżo doznane wrażenia, uśmiechnął się smutnie i rzekł:

— Niedola ludzka,—to rzecz, jak świat stara. Daremnie miłosierdzie usiłuje z nią walczyć. Pojedyńczo, niejednokrotnie udało się całe nawet rodziny podźwignąć z nieszczęścia. Jednakże, ani jedna instytucja, ani jeden zakład, lub fundusz, na dobroczynny użytek przeznaczony, nie oparł się działaniu czasu. Prędzéj, czy późniéj, pierwotna myśl zostaje zmienioną, skrzywioną zupełnie, a najczęściéj rzecz cała ginie bez śladu, lub pozostawia

ślady tak przelotne, iż dość jednéj generacji tylko, aby się zatarły. W ogóle tedy dobroczynność indywidualna, rozpowszechniona i posunięta wysoko, mojém zdaniem, wyższa jest od dobroczynności w przepisy ujętéj, najprzód pod względem moralności, bo w niéj nie dosyć jest obojętnie rzucić grosz składkowy:—należy wiedzieć, gdzie i jak go rzucić. Prawdziwa nędza nie traci wstydu przez urzędowy stosunek z ludźmi, którzy są tylko zimnymi dystrybutorami powierzonego im funduszu, ale widząc dla siebie ratunek tylko w litości prywatnych, często przekłada nad niego i nad nieodłączne od niego upokorzenie pracę, choćby najcięższą,—a to już bardzo wiele znaczy; nadto, wsparcie prywatne nie jest stałe, więc nie można, rachując na nie, rąk opuścić zupełnie. Człowiek nie oswaja się tak łatwo z myślą o żebraninie; a z drugiéj strony, dający, jeśli są prawdziwie dobroczynni, to uczą się poznawać nędzę, życie klass uboższych; wśród dostatków nie zapominają o innych;—słowem, z bardzo wielu względów, miłosierdzie objęte przepisami, litość z urzędu, współczucie na zimno, nie liczy mnie do najszczerszych zwolenników. Jednakże przyznaję, że są wypadki, w których potrzebna jest koniecznie pomoc umiejętna, szybka, urządzona na większą skalę, któréj zaimponować

niepodobna prawie, bo się spotka z takiemi trudnościami, jak n. p. tutaj: Jak pan mówisz,—jeden człowiek z kolei kilka nocy bezsennych przepędził. To dowodzi braku ludzi. Czyżby u nas tak mało było osób zdolnych do poświęcenia? Nie; tylko pośpiech nie dozwolił wszystkich sił rozwinąć. Uskarżasz się pan na brak funduszu, krępujący działalność dyżurnych.—I tu nie skąpstwo, ale nagłość potrzeby spowodowała te braki. Dowód więc, *że jednak należy pomyślėć o czémś, mogącém w przyszłości zapobiedz podobnym wypadkom.* Wiadomo, że co pewien czas cholera u nas się pojawia. Możnaby raz na zawsze urządzić coś nakształt kadrów wielkiéj, porządnéj i dobrze urządzonéj pomocy. Kadry te mogłyby zapełniać się w chwili zjawienia się epidemii, i w ścieśnionéj kolumnie stawiać jéj czoło; a w przerwach paroletnich zmniejszone do ile możności umiarkowanéj liczby, mogłyby nieść ratunek ludziom, dla których praca rąk własnych stanowi jedyne utrzymanie, a którzy z powodu choroby znajdują się naraz pozbawieni chleba. Zapewnić ludziom takim pomoc lekarską i chleb dla nich samych i dla ich rodzin przez czas choroby, zająć się pozostałemi po nich sierotami, —to już byłoby wielkiem dobrodziejstwem. Sądzę nawet, że biedni sami mogliby drobniutką

choćby wnosić opłatę w tym celu, a już zyskaliby moralnie wiele, bo nie odbieraliby jałmużny, tylko zaoszczędzony własny grosz swój.

Rozumié się, że nie mówię tu o pomocy dobroczynnéj dla biednych, żebraków, kalek, starców i t. p.;—rzecz ta do innéj kategoryi już należy. Ludzie, dla jakichkolwiek przyczyn wcale niezdolni do pracy, korzystają ze stałéj uorganizowanéj pomocy dobroczynności, w naszém urzędowém tego wyrazu znaczeniu. Ja mówię tu o czémś w rodzaju *Komissyi sanitarnéj* lub *Komitetu zdrowia*, urządzonych na czas wojny w skutek traktatu genewskiego, tylko z zastosowaniem do codziennego życia, więcéj daleko, choć nie tak od razu, przedstawiającego wypadków potrzeby ratunku, jak wojna. Taka pomoc mogłaby rozporządzać pewną liczbą lekarzy i felczerów, mogłaby wydawać tanie dzieła, traktujące o najprostszych środkach lekarskich w chwili pojawienia się epidemii, zanim zdąży przyjść lekarz, i t. d. i t. d. Wreszcie, nie mam ja zamiaru kreślić tak w rozmowie doraźnie planu instytucji, która dotąd u nas do *nova insula utopia* należy; chciałem tylko wskazać panu kierunek, w jakim, mojém zdaniem, pracować ze skutkiemby można; chciałem mu wskazać myśl przewodnią, za którą, zdaje mi się, pójść należy, chcąc na téj

drodze coś zdziałać. Bo jakkolwiek powiedziałem panu, że dotychczasowe próby dobroczynnych instytucjj runęły pod ciężarem lat i nie przeżyły zbyt wielu wieków, jednakże ludzkość postępuje wciąż, i być może, iż po wszystkich dotychczasowych próbach, znajdzie się nakoniec pomysł, który wszelkim odpowie nadziejom.

— Jednakże niepodobna zaprzeczyć, że i dziś dobroczynność bardzo wielkie oddaje przysługi.

— Zapewne; nawet istotnie dobroczynne instytucje przybrały teraz tak kolosalne rozmiary i tak wielkiemi rozporządzają środkami, że same sprawozdania już zdumiewają i radują człowieka na myśl o tylu łzach otartych, o tylu osłodzonych cierpieniach. Lecz właśnie ten nagły ich wzrost dowodzi, iż znalazło się mnóstwo filantropów, którzy czas swój, zdolności, majątki na ten cel obrócili. Olbrzymie usiłowania pojedyńczych osób, złączonych węzłem ustawy, muszą też odpowiednie wydawać plony. Ale niech rzecz taż sama przejdzie w spadku do rąk ludzi obojętnych, którzy nią o tyle tylko interesować się będą, o ile przynosi im korzyści jakieś, czy to w pieniądzach wprost, czy też w zaszczytach, złączonych z piastowaniem tego rodzaju godności, to całe owoce zabiegów dzisiejszych zmarnują się, plan działania skarleje,

wszystko będzie się wlokło zaledwie, pozbawione sprężystości i ożywczego ducha, jakiego dać mogą nie przepisy, ale jeden tylko potężny czynnik, dobra wola. Wiész pan, jekie przeszkody materjalne krępują działalność naszego komitetu, a jednakże, ilu ludzi zyskało już pomoc, od ilu odwrócono niebezpieczeństwo, nad ilu chorymi rozciągnięto opiekę! Dla czego? Bo całą instytucję ożywia i ogromna energja i czynność prezesa jéj p. prezydenta, popierającego całym wpływem swoim tę sprawę; bo między członkami jéj znajdziesz pan ludzi tak pełnych zapału czynienia dobrego, jak hrabia O.... Nie przeczę, że działalność ich znajduje silne poparcie w licznéj klassie ludzi, nie władających tak wielkiemi środkami i mogących tylko osobiste swe poświęcenie przynieść na szalę. Ale tu jak w wojsku. Bez wodza dobrego, najlepszy żołnierz nie wiele przynieść może użytku.

— Jeżeli pan tak wielkie przywiązuje znaczenie do osób, do indywidualności, a tak małe do zakładów i fundacjj dobroczynnych, to tego rodzaju instytucja, o jakiéj mówiliśmy, mająca być przysposobieniem się do nowego powrotu choroby, nie przedstawia, według pana, żadnych prawie widoków.

— I owszem. Rzecz pewna, że wielkie klęski społeczne wydają ludzi z poświęceniem. I tu

więc liczyć na to można! A bardzo ważnem jest, żeby w danym razie mogli znaleźć już drogę utorowaną i wszelką materjalną pomoc nagromadzoną, bo wtedy, nie spotykając na każdym kroku nowych przeszkód, będą w możności w trójnasób tak wielką rozwinąć energję. A przez cały czas przerwy, jak powiedziałem, lubo działanie bardzo będzie ograniczone, jednakże, mimo szczupłości zakresu, nie będzie bez pożytku.

Gdyśmy tak rozmawiali, wszedł do salonu młody chłopak, około 20-tu lat liczący, bardzo miłej powierzchowności, ale z zapłakanemi oczyma, i grzecznie się skłoniwszy, podał panu *** jakiś pakiet z papierami.

— Czegożeś zapłakany? Lejbo, — zapytał dobrotliwie pan ***.

Wczoraj na cholerę umarł jeden z moich znajomych i dziś się o śmierci jego dowiedziałem.

— Któż to taki?

— Handlarz *. Umarł w wielkiéj nędzy, pozostawiwszy po sobie wdowę i sierotę.

— Czy sierota nie Mirjam ma na imię? — spytałem, przyglądając się uważnie młodemu człowiekowi.

— Tak jest, — odpowiedział, czerwieniąc się pod mém spojrzeniem. Z twarzy jego wyczytać

łatwo było, że chce mię o coś zapytać, ale uszanowanie dla pryncypała nie dozwoliło mu tego uczynić.

— To ten sam handlarz, u którego wczoraj byłem jako dyżurny, — rzekłem do pana ***, odpowiadając na milczące zapytanie młodzieńca.

— Czy nie potrzebują pieniężnego wsparcia? — spytał pan ***.

Chłopak przez chwilę zdawał się zakłopotanym.

— Biedni są, — odpowiedział, — ale dotąd o pomoc nie prosili.

— Tém więcéj na nie zasługują, — odrzekł bankier, poszedł do biórka, napisał parę wyrazów, następnie kartkę zapieczętował i dał chłopcu, mówiąc:

— Zanieś to panu kasjerowi.

Po czasie, którego użył na pisanie, wniosłem, że musi tam być zarazem instrukcja, w jaki sposób czyn miłosierdzia ma być spełniony.

Na twarzy chłopca objawiło się widoczne ukontentowanie.

— Widzę, że ci moje zlecenie sprawia przyjemność.... A więc spiesz się z jego wypełnieniem, a późniéj wróć i zdaj mi z niego sprawę.

Chłopak wyszedł.

— Albo się bardzo mylę, albo młody ten człowiek jest zakochany w córce handlarza.

— Zkądże pan wnosisz?

Opowiedziałem wczorajsze zachowanie się Mirjam względem narzeczonego, a następnie zwróciłem uwagę bankiera na rumieńce, jakie pokryły twarz Lejby, kiedym go spytał o tożsamość osoby handlarza.

— Może pan masz rację; a radbym go widzieć szczęśliwym, bo zasługuje na to.

— Tym razem jednak, zdaje się, że los nie posłuży mu. Młoda dziewica pójdzie za wolą umierającego ojca, który na śmiertelném swém łożu kazał poprzysiądz Moszkowi, (takie jest imię narzeczonego), iż pojmie sierotę za żonę, choć jest od niego uboższa. Wprawdzie niechętną wydała się dziewica, ale naprzód, być może, iż był to chwilowy kaprys tylko; powtóre, głos z grobu przemawiający nabywa wielkiéj powagi i siły.

— To prawda, i w każdym razie Lejba powinien myśl o poślubieniu jéj porzucić. Czy, jako dobra córka, pójdzie za wolą ojca; czy nawet zechce przełamać tę wolę, bo w takim razie, cóż będzie dla niéj świętego? Jedyném prawem jéj będzie własna jéj namiętność; a z takiéj żony trudno wiele dobrego wróżyć.

— Zapewne, — odpowiedziałem. — I biedny Lejba już będzie musiał zrezygnować się chyba.

— A żal mi go, jeśli bardzo zakochany, bo miałem sposobność poznać go z bardzo dobréj strony i ocenić jego serce. Wiesz pan zapewne, ile wysileń robimy, aby przyjść w pomoc nieszczęśliwym, którzy od wylewu ucierpieli. Jednakże, zanim któremu z powodziaków udzielimy wsparcie, przekonywamy się wprzód naocznie, czy na nie zasługuje, i w tym celu zwiedzamy domy na ulicach, dotkniętych wylewem. Otóż, wyobraź pan sobie moje zdumienie, kiedy wszedłszy raz do jednego z mieszkań, na mojéj liście będących, zastaję Lejbę, poufale rozmawiającego z bardzo piękną dziewczyną. Lejba, widząc mię wchodzącego, zmięszał się nieco i skłoniwszy się, przedstawił swą stryjeczną siostrę. Spojrzałem na listę;—nazwisko jéj było takież same, jak jego. Dowiedziałem się, że młoda dziewczyna mieszka przy staréj i zniedołężniałéj babce, którą utrzymuje swą pracą; że jednak nie zdołaliby opędzić się nędzy, gdyby Lejba nie przychodził im w pomoc. Fakt ten przemawia bardzo na korzyść młodego chłopca, dowodząc w nim serca i gotowości do poświęcenia się, bo fundusze jego samego bardzo są szczupłe-

Tu rozmowa nasza zwróciła się nazad do punktu wyjścia, i ja, otrzymawszy od pana *** obietnicę, iż pomyśli o tém, com mu powiedział, wyszedłem.

VI.

Jako członka dyżuru cholerycznych, każda rodzina w szczególności obchodziła mię przedewszystkiém o tyle, o ile przedstawiała pole dla méj działalności, t. j. o ile był w niéj ktoś na epidemję chory. Z chwilą wyzdrowienia, lub śmierci pacjenta moja misja tam kończyła się i rodzinę tę traciłem z oczu. Tu jednakże pochwyciwszy przypadkowo nić dramatu,—dramatu dwóch serc dla siebie bijących, jedném ożywionych uczuciem, a spotykających nieprzełamaną przeszkodę, jak tu, w woli ojca, któréj już żadnym sposobem zmienić niepodobna było, postanowiłem śledzić daléj rozwijanie się akcyi. Korzystając ze sposobności dowiedzenia się o zdrowie rekonwalescentki Mirjam, zaznajomiłem się bliżéj z osierociałą rodziną, któréj nawet miałem możność jakąś niewielką przysługę wyświadczyć, poznałem wszystkie osoby działające, i w części z ich zwierzeń, w części też z wiadomości, które mi udzielił pan ***, potrafiłem zebrać

szczegóły, któremi się z tobą, łaskawy czytelniku, podzielę.

W znajoméj nam suterenie leżała Mirjam, osłabiona jeszcze, ale już znacznie zdrowsza. Po izbie kręciła się matka, przygotowując jakiś skromny posiłek; — nagle, drzwi się otwarły i po schodach pędem wbiegł zadyszany Lejba.

— Przynoszę wam miłą nowinę. Mój pryncypał pan ***, dowiedziawszy się o waszém nieszczęściu i biedzie, przysłał tu oto kilka rubli zapomogi.

W obec naglących gospodarskich potrzeb, nieoczekiwane to wsparcie tak wielkiém było dobrodziejstwem, że wdowa nie umiała znaleźć wyrazów na wychwalenie dobroci pana *** i na podziękowanie Lejbie za jego pamięć.

— Czémże ja ci się wywdzięczę, poczciwy chłopcze, za twoje dobre serce?

— Nie mówcie mi o wdzięczności, moi kochani. Czyż to moją zasługą, że pan *** jest wspaniałomyślnym i dobrym.

— Jednakże bez ciebie aniby wiedzieć mógł o nas....

Lejba nie słuchał już, tylko, usiadłszy na łóżku Mirjam, zcicha z nią rozmawiać zaczął.

*

— Wiesz, Lejbo, — mówiło dziewczę, — dotąd oswoić się nie mogę z myślą, że ojca już nie mam; ciągle zdaje mi się, że wyszedł, i że za chwilę powróci. Mój Boże! — mówiła daléj, po pewnym przestanku. — Jakże to smutno jest pozostać saméj na świecie! I któż teraz o nas myśléć, kto nami opiekować się będzie? Kto wspomni biedną sierotę?

— Mirjam! Mirjam! — mówił z wyrzutem Lejba. — Więc mnie już za nic chcesz liczyć? Czy odmawiasz mi radości opiekowania się wami? Wszak ja cię zawsze równie kocham, jak dawniéj. Jest to może nie dobrze, ale trudno mi rozstać się z tą myślą, że ze śmiercią ojca twego znikła ostatnia dzieląca nas przeszkoda.

— A wola jego przedśmiertna czy wraz z nim umarła? — zapytała z goryczą matka. — Czy Mirjam zechce lekceważyć sobie ostatnie wyrazy tego, który przed Bogiem miał stanąć w chwili, kiedy je wymawiał?

W téj chwili do stancyi wszedł Moszek.

— Więc ojciec, umierając, zabronił mi wyjsć za Lejbę?

— Moszku! powtórz jéj słowa nieboszczyka.

— Ojciec twój, Mirjam, umierając, nakazał mi przysiądz, że mężem twoim zostanę, jak on poprzy-

siągł toż samo przed moim umierającym ojcem. A ja odpowiedziałem: Przysięgam.

— To słowo zbudziło mię, — szepnęła jakby do siebie dziewica, i złamana zbolała, padła na łóżko i głowę w poduszce ukryła. Od chwili do chwili słychać było ciche tłumione jéj łkania.

— Więc dla mnie już żadnéj nie ma nadziei! — zawołał Lejba zbladły i z rozpaczą w sercu.

— Niegodziwy! — przemówiła matka. — Jak śmiesz targować się o miłość sieroty, tam, gdzie nie zastygły jeszcze ślady nieboszczyka jéj ojca, gdzie pokuta jeszcze nie skończona, gdzie jest jeszcze słoma, na któréj martwe jego zwłoki leżały. Jak śmiesz zuchwałą ręką targać się na ostatnią jego wolę, i jeszcze córkę do występku, do złamania jéj skłaniać?

Lejba zmięszany, milczał. Moszek ciskał na niego spojrzenia nienawiści i tryumfu.

— Nie, Lejbo, nie mogę być twoją, — przerywanym od płaczu głosem wyrzekła Mirjam.— Podwójna przysięga, obie strony obowiązująca, ojca mego i.... tego, (to mówiąc, palcem wskazała Moszka, jakby wstręt miała do samego imienia nawet), łączy nas,—mnie na wieki od ciebie oddziela i okuwa z nieszczęściem. Lecz w téj chwili,— w chwili, kiedy się ciebie wyrzekam na zawsze,

przysięgam, że nigdy cię kochać nie przestanę— miłością najczystszą, niewygasłą, miłością siostry.

— Milcz, nieszczęśliwa, — przerwała matka. — To, coś powiedziała, bluźnierstwem jest w obliczu Boga i tego, który dla ciebie pierwszym po Bogu być winien.

Ale Mirjam nie słyszała już słów tych. Osłabiona chorobą, smutkiem, po niespodzianéj śmierci ojca i świeżém wysileniem, omdlała i padła bezwładna na pościel. Matka zajęła się ratunkiem. Moszek wyszedł zły i nieukontentowany. Lejba pobiegł szukać doktora.

VII.

— Cóż, Lejbo, oddałeś pieniądze wdowie po handlarzu? — zapytał pan *** młodzieńca, kiedy ten przyszedł zdać sprawę ze swéj czynności.

— Oddałem je i przynoszę panu tysiące podziękowań od wdowy i córki jéj,

— Ale cóżeś taki smutny, jak gdyby ci się złego coś przytrafiło?

— Taki biedny sierota, jak ja, czyż ma się czego weselić?

— Od czasu, jak cię znam, byłeś zawsze biednym sierotą, a jednak byłeś wesoły. Nie ta więc przyczyna smutku.

Lejba milczał.

— Zdaje mi się, iż wiem, o co idzie. Stary handlarz, umierając, nakazał córce iść za kogo innego, a ty się w niéj kochasz; ztąd zmartwienie.

— W rzeczy saméj, tak jest, — smutnie odpowiedział Lejba, — i gdybym wiedział chociaż, że kocha Moszka i będzie z nim szczęśliwą....

— Moszka? — zapytał zdziwiony pan ***, — czy nie tego, co jest w naszym kantorze?

— Tego samego, właśnie. Nienawidzi go Mirjam, a jednak pójdzie za niego, bo tak jéj ojciec nakazał.

— Chciałżebyś, ażeby dla ciebie stała się niewdzięczną i nieposłuszną córką? Wstydź się, Lejbo, żeby ci kobiéta dopiéro przykład poddania się i zapanowania nad sobą musiała dawać. Młody jesteś, czas troski twoje wyleczy, i sam śmiać się może będziesz późniéj z dzisiejszych swoich utrapień. Więc czemuż nie przyspieszyć zdaniem się na wolę Boga, chwili, w któréj nieszczęście twoje w własnych twych oczach się zmniejszy? Wreszcie jedno dam ci lekarstwo... pracę. W pracy zawsze znajdziesz ulgę, ile razy dręczyć cię będzie

smutek. Praca przyczynia się do zapomnienia o nim, jak dobroczynność do osłodzenia go. Sam sobie wyszukiwać winieneś pożytecznych zajęć, a wkrótce przekonasz się, jak wielkiém one staną się dla ciebie dobrodziejstwem. No, a teraz, wprowadzając myśl tę w czyn, biegnij do kantoru i uporządkuj tam wszystkie papiery.

Lejba, nic nie odpowiedziawszy, skłonił się i wyszedł.

Jakkolwiek wierzył on w całą wielkość i trwałość swego nieszczęścia, i przekonanym był o niedostateczności środka, podanego mu przez pryncypała, jednakże, przyzwyczajony do natychmiastowego posłuszeństwa, udał się do kantoru, aby niezwłocznie rozkaz wykonać. Lecz któż opowie zdumienie jego, kiedy wśród rozmaitych papierów znalazł krótki liścik, na który rzuciwszy roztargnioném okiem, czytał te słowa:

Wrocław d. . . . .

„Expedycję, którą posłałeś mi d. . . . , otrzymałem. Wkrótce nadjedzie do Warszawy ajent domu naszego, udający się do Odessy. Na ciebie wkładam obowiązek ułatwienia mu pobytu, ponieważ nie zna Warszawy, ani polskiego języka. Ajent ten mógłby powieźć z sobą wiadome ci

weksle, tylko że oryginalne podpisy tych, którzy u was weksle wystawiają, zaginęły mi. Przyślij więc inne jak najśpieszniej, *poste restante.* Tylko wyraźne. Blankiety i pieczęcie już mam gotowe. Wynagrodzenie przywiezie ci ajent wspomniony, który zarazem, przy twéj pomocy, będzie się starał weksle nasze wsunąć do rąk kasjera. Jest to człowiek pewny i możesz mu zaufać.

Polecając się twéj pamięci,

zostaję etc.“

Z początku Lejba czytał list bez myśli. Zajęty swoim smutkiem, wziął go machinalnie do rąk i o czém inném myśląc, z niechcenia przerzucał oczyma. Nagle, kilka wyrazów przy końcu, silniéj zwróciło jego uwagę. Wiedział on, że Moszek jest jeszcze komisantem jakiegoś wrocławskiego domu handlowego, w którym ma nawet swego kuzyna, ale nie wiedział, że kuzyn ten takie nadsyła zlecenia, że Moszek już zaawansował na wspólnika fałszerstwa wekslów.

Raz i drugi odczytał jeszcze ten list, myśląc, w jaki sposób najsłuszniéj przeszkodzić zamiarom Moszka, nie kompromitując całéj jego przyszłości, kiedy niespodzianie otwierają się drzwi i wpada Moszek blady, zmieszany, niespokojny.

— Masz mój list, widzę. Oddaj go zaraz.

— Bezpiecznym on jest i w moich rękach. Oddam ci go później.

— Oddaj natychmiast.

— A jeśli nie zechcę?

Moszek rzucił się wściekle na Lejbę, usiłując wydrzéć mu papier z ręki, i nieprzygotowanego na tak gwałtowny atak, ciężarem swoim powalił na ziemię.

Jednakże Lejba, choć słabszy, bronił się uporczywie. Gdyby sam atakował, pewno niedługo oddałby za wygraną. Lecz w walce odpornéj, w któréj zimna krew wiele szans mu zapewniała, tak zręcznie unikał rąk Moszka, pragnącego wydrzéć mu szacowny dokument, iż ten postanowił nareszcie bólem zmusić Lejbę do oddania go. Dla tego téż, korzystając z chwili, kiedy pod spodem leżący Lejba, chcąc na chwilę choć wytchnąć pod gniotącym go ciężarem, usiłował cokolwiek na bok się wykręcić, pochwycił go zębami za ramię tak silnie, że Lejba krzyknął aż z bólu. Teraz nastąpiła chwila wytchnienia między obydwoma przeciwnikami. Obaj byli bardzo zmęczeni, przytém Moszek obawiał się, ażeby dalsze kąsanie i krzyk Lejby nie sprowadził ludzi i nie położył końca bitwie, w sposób, najmniéj dla niego korzystny,

pragnąc tedy rzecz jak najśpieszniej ukończyć, stłumionym od wysilenia, gniewu i obawy głosem, zawołał:

— Oddaj mi list, bo cię pogryzę całego.

Silne zgrzytnięcie zębami nad uchem Lejby, poparło groźbę. Ten ostatni, w położeniu wcale nie najwygodniejszém, pod silną presją swego młodszego wprawdzie, lecz muskularniejszego towarzysza zostający, zebrał wszystkie siły, wzmocnione chwilą odpoczynku, i gwałtownym ruchem strząsnął z siebie Moszka. Oswobodzony z ciężaru, starał się teraz korzystać z czasu i jak najprędzéj się podnieść. Ale nie zdążył. Moszek spostrzegł jego zamiar; nie podnosząc się sam, porwał go za rękę, na któréj Lejba był wsparty, przewrócił tym sposobem nazad, rzucił się na niego, dłonią zatkał mu usta dla stłumienia krzyku, a sam z nową wściekłością gryźć go począł. Niewiem, jaki koniec wzięłaby walka, gdyby nagle nie roztwarły się drzwi od kantoru i nie ukazał się w nich sam pan ***. Na głos jego zerwali się obaj chłopcy. Moszek zrozumiał, że jest zgubiony.

— Co to jest? co to znaczy? Co to za list gnieciesz w ręku. Lejbo?

Lejba, nic nie odpowiadając, podał list. Moszek zaczął drżyć na całém ciele.

— Fałszerz?! — piorunującym głosem krzyknął pan ***.

Moszek padł do nóg jego i czołgał się na ziemi.

— Litości! panie! litości nad nieszczęśliwym! — wołał rozpacznie.

— A masz-że ty litość nad sobą, zbrodniarzu, kiedy sam własnemi rękami kajdany sobie kujesz? Lejbo, zawołaj tu moich ludzi, niech go zwiążą i odstawią do sądu.

Teraz i Lejba zaczął wstawiać się za swym przeciwnikiem, tak, że w końcu pan *** zmiękczony ich prośbami, rzekł:

— Przez wzgląd na ojca twego tylko, którego znałem jako uczciwego i zacnego człowieka, i na prośby szlachetnego Lejby, nie karzę cię, jak na to zasługujesz, ale pod tym tylko warunkiem, abyś wyrzekł się ręki dziewczyny, któréj już jako złodziéj i fałszerz, nie jesteś wart, i na któréj imię występkiem swoim plamę byś rzucił, i powtóre, abyś natychmiast opuścił moją służbę.

— Wyrzec się Mirjam? Mirjam, która jedyną moją była nadzieją, dla któréj ja pracowałem tak ciężko, dla któréj nawet występku się dopuściłem, aby jak najprędzéj zostać bogatym? Panie! pan nie będziesz tyle okrutnym, ażeby mnie jéj pozbawiać. Ja nie mogę wyrzec się jéj; to niepodobna!

— Lejbo! idź zaraz po ludzi.

Na twarzy Lejby, z oczekiwania i niepokoju, kroplisty pot wystąpił. Jednakże, niezdecydowany, nie ruszył się z miejsca.

— Łaski! litości nad nieszczęśliwym! — wołał z płaczem Moszek.

— Czyś słyszał, Lejbo, com do ciebie mówił? — krzyknął pan ***.

— Lejba, ze smutnie zwieszoną głową, wolnym krokiem poszedł ku drzwiom.

— Wstrzymaj się chwilkę! — wołał rozpacznie Moszek, usłyszawszy, że bierze za klamkę.— Już wyrzekam się wszystkiego. Już . . . .

Dalej mówić nie mógł. Gwałtowny płacz przerwał mu. Szlochał, jak dziecko, na samą myśl rozwiania najdroższych jego marzeń.

— Żeby do jutra noga twoja nie postała więcej u mnie, — mówił dalej bankier głosem groźnym, w którym jednak wzruszenie pewne pomimowoli się przebijało.

— Niechże pan nie gubi nieszczęśliwego do reszty! — prosił Moszek. — Cóż zrobię, jeśli pan mię wypędzi? Kto mię przyjmie shańbionego, zniesławionego?

— Więc mam trzymać fałszerza i być w obawie o majątek, o imię nawet moje, które możesz

podrobionym podpisem skompromitować, zniesławić na zawsze? Jakąż ja mam rękojmię, że poprawisz się, że zmienisz postępowanie?

— Moje upokorzenie, moją rozpacz, moją wdzięczność bez granic za okazaną mi łaskę!

— Ha, zobaczemy, — zwolna powiedział bankier i wyszedł. Za nim udał się Lejba. Lecz kiedy wychodził, Moszek rzucił na niego wzrokiem, w którym krwawemi zgłoskami wypisany był wyraz: *Zemsta.*

Za co mścić się chciał Moszek? — Bo Lejba szczęśliwszym był od niego.

Niewytłomaczone są tajniki i konsekwencje ludzkiego serca.

Moszek pozostał sam, rozmyślać o tém, co go spotkało i plany na przyszłość układać.

A list? — List pozostał w ręku pana ***.

VIII.

Choroba Mirjam pogorszyła się znacznie od chwili, w któréj dowiedziała się, że małżeństwo jéj z Moszkiem jest rzeczą nieuniknioną. Matka, naprawdę przestraszona symptomatami, które się objawiły, starała się uspokoić ją, mówiąc, że ten nienawistny dla niéj związek nie tak prędko jeszcze

nastąpi; że wprawdzie Lejba jest dobry i poczciwy chłopak, ale i Moszkowi trudno coś zarzucić; że czas zatrze w jéj pamięci obraz pierwszego, a wtedy sama powie, że trudno było dla niéj znaléźć stosowniejszą partję; że Moszek, choć milczący, jednakże bardzo ją kocha, może nawet bardziéj, niż powolny nieco Lejba; słowem, przedstawiała jéj wiele przyczyn, które niezakochana wybornemi by znalazła, lecz na które miłość głuchą czyniła Mirjam; a tymczasem choroba jéj coraz silniejsze zdawała się robić postępy. Tak przynajmniéj sądziła nieszczęśliwa matka, która niedawno straciwszy w ciągu kilku godzin męża, obawiała się teraz po raz drugi zostać osamotnioną.

Jakież więc zdziwienie i radość obu kobiét być musiały, kiedy na drugi dzień po stanowczém odmówieniu Lejbie, wchodzi Moszek i najniespodziewaniéj w ten sposób przemawia:

— Jakże miewa się Mirjam?

— Źle, coraz gorzéj, — odpowie matka.

— Widzę, że małżeństwo ze mną tak ją zmartwiło. Przyznam się, że nie radbym miéć na sumieniu jéj śmierci, ani téż wziąść żonę, któraby z przymusu poszedłszy za mnie, miała mię zawsze za jedyną swego nieszczęścia przyczynę.

— Cóż chcesz przez to powiedzieć, Moszku? —spytała matka, na wpół uradowana, na wpół przestraszona.

— Że zrzekam się szczęścia, jakie prawnie mógłbym posiadać, bo nie chcę go okupywać nieszczęściem, a może i śmiercią téj, którą najbardziéj kocham.

Głos Moszka był wzruszony i drżący, oczy jego napełniły się łzami i straciły na zwykłéj swéj ruchliwości i fałszu.

Mirjam nawet, zdziwiona jego znalezieniem się i tak szlachetnym dowodem prawdziwéj miłości, nie mogła się oprzéć uczuciu sympatyi jakiéjś względem człowieka, tak wspaniałomyślnie poświęcającego się dla niéj. Po raz pierwszy Moszek nie wydał jéj się tak wstrętnym i odrażającym, jak zwykle.

— Lecz przysięga twoja . . . — wtrąciła znowu matka.

— Przysiągłem, że względy majątkowe nie przeszkodzą mi do tego małżeństwa. I teraz gotówem przysiądz, iż tak mała przeszkoda nie wstrzymała by mnie.

— Jednakże przysiągłeś, że się ożenisz.

— A gdyby Mirjam, od czego uchowaj Boże, umarła? Czy jeszcze byłbym obowiązany i z trupem się żenić?

— Ależ nie umarła . . . .

— Tylko umierająca jest, a naleganiem mógłbym ją dobić.

— Czy sądzicie, że ojciec jéj, gdyby żył, nalegałby na to małżeństwo? Sprzeciwiać się jego spełnieniu nie mógłby, bo był skrępowany słowem, przyjacielowi danem, w obec Boga i śmierci. Ale starałby się odwieść mię wszelkiemi sposobami, jakieby mu nastręczały perswazja i przekonywanie.

Obie kobiéty ze zdumieniem spoglądały na Moszka, którego nie słyszały jeszcze nigdy tak wymownego i tak szlachetnie odzywającego się, — nie wiedziały, jakie motywa skłaniają go do téj szlachetności.

— Zbliż się, Moszku, niechże chociaż podziękuję ci za twoją dobroć, — rzekła Mirjam i wyciągnęła do niego swą wychudłą, lecz białą i drobną rączkę, na któréj Moszek namiętne pocałowanie złożył.

— Pozwól mi chociaż być twoim przyjacielem, kiedy los komu innemu miłość twoję przeznaczył. Pozwól mi czuwać nad tobą i służyć ci wiecznie, a zapewniam, że życzliwszego odemnie nie znajdziesz.

Wymowne spojrzenie Mirjam było dla niego najmilszą, najsłodszą nagrodą.

Odtąd Moszek w stosunku z Mirjam zmienił się do niepoznania. Dawniéj bywał milczący i smutny, teraz stał się rozmownym i wesołym. Dawniéj o Lejbie nic nie mówił, albo mówił źle, a na samo wspomnienie jego marszczył się i zaciskał pięści. Teraz Lejba stał się jedynym przedmiotem rozmowy. A prócz dowcipnych uwag, od czasu do czasu, które go ośmieszały, tylą go zresztą obsypywał pochwałami, że dla saméj nawet zakochanéj Mirjam przedmiot ten nieco zaczynał być ckliwym.

Zadowolenie i szczęście, to najlepsze lekarstwo.

Mirjam prędko przychodziła do zdrowia. Doktór kazał jéj co rano, jeśli dzień był pogodny, wychodzić na przechadzkę do Krasińskich ogrodu. Często w przechadzce takiéj spotykała Moszka, albo Lejbę. Moszek starał się wtedy tylko z nią widywać, kiedy wiedział, że Lejba jest zajęty. Kiedy zaś wiedział, że jako wolny, pośpieszyć może do swéj najukochańszéj, trzymał się starannie na uboczu, i tylko od czasu do czasu, zawistném okiem śledził zakochaną parę. Jednakże, kilka razy zdarzyło się, że Lejba nie korzystał z wolnéj chwili, i nie pośpieszył do oczekującéj go Mirjam, która zawsze wiedziała mniéj więcéj kogo z młodych znajomych swoich ma się spodziewać. Daremnie oczekiwał zdala Moszek, sądząc, że to tylko chwilowe

spóźnienie, daremnie oglądała się Mirjam, Lejba nie pokazał się wcale. To przedewszystkiém zwróciło uwagę Moszka, który postanowił dojść koniecznie, jakiego rodzaju exkursje odbywa jego towarzysz. Wiedział bowiem, iż w domu go nié ma. Łatwo wyśledził go, idąc trop w trop za Lejbą. Szedł on na jedną z nadwiślańskich uliczek i wchodził do jakiegoś nędznego, powodzią nadwerężonego domu. Moszek zapytał się sąsiadów, kto tam mieszka. Powiedziano mu, że na dole mieszka jakaś stara kobiéta, z bardzo piękną panienką, swą wnuczką. Zauważył, że Lejba tam właśnie wchodzi, gdzie, według opowiadań stróża i sąsiadów, znajdował się lokal dwóch kobiét. Powziąwszy informacje te, pełen nadziei, pośpieszył do domu, układając z góry, jaki z nich zrobi użytek.

Tegoż samego dnia jeszcze poszedł do dawnéj swéj narzeczonéj.

— Cóż, Mirjam, prawda, że śliczny był poranek?

— Ładny bardzo.

— Jaką rozkosz sprawiają takie poranne przechadzki! Jakże zazdroszczę Lejbie dzisiejszéj!

Smutne westchnienie było jedyną odpowiedzią.

— Cóżeś dziś tak zasępiona, Mirjam? Czy ci się co złego trafiło?

— Nie, nic.

— Doprawdy, szczęśliwy ten Lejba. Ręczę, że widząc się z nim dziś rano, byłaś wesołą, jak ptaszek. Teraz już go nié ma, więc jużeś spochmurniała. Zazdrościłbym mu szczerze, gdybym nie wiedział, co to za poczciwy chłopak i jak dobre ma serce. To téż pewny jestem, że i druga jego znajoma również go kocha, jak i ty.

— Co, jaka druga znajoma?

— Czy ja powiedziałem: druga znajoma?... Wszyscy znajomi i znajome kochają go, bo on bardzo dobry chłopak.

— Proszę cię, Moszku, widzę z twoich oczu, że ze mnie żartujesz, i że coś przedemną ukrywasz.

— Biedna dziewczyna!

— Moszku! ty ani sobie wyobrazisz, jakie mi zadajesz tortury. Z oczu twych czytam moje nieszczęście, a ty jeszcze ze mnie się natrząsasz.

— Ja, z ciebie, moja biedna Mirjam, ależ ja bym ci rad nieba przychylić.

— Tak, a nie chcesz mi zrobić to, o co cię proszę.

— Owszem, wszystko, co tylko chcesz, jest dla mnie rozkazem. Cóż chcesz, abym ci zrobił?

— Powiedz mi, co wiesz o Lejbie.

— Ja mam zdradzać mego towarzysza?

— A widzisz, że wiesz coś o nim....

— Tego nie mówiłem.

— No, no, mój Moszku, wiesz. Już ja widzę, że wiesz, tylko mi powiedz; — prosiła Mirjam.— Zapewniam cię, że zachowam w tajemnicy.

— Ha, cóż z tobą zrobić, kiedy chcesz tak koniecznie? Oto, Lejba zakochał się w jednéj bardzo pięknéj dziewczynie, którą odwiedza codziennie, i która mieszka u swéj babki.

Mirjam zbladła i zachwiała się.

— Czy ty nie zwodzisz mię, Moszku?

— Mirjam! Jak mię żywego widzisz, tak prawdę mówię, — własnemi oczyma widziałem, jak do niéj wchodził.

Wiadomość ta okropnym była ciosem dla dziewczyny. Uszom swoim wierzyć nie chciała. Przypuścić tylko, że to może być prawdą, było już dla niéj wielkiém nieszczęściem.

Cóż dopiéro, kiedy przechodząc wieczór przez ogród Krasińskich, spostrzegła Lejbę, idącego z młodą jakąś i piękną dziewczyną. Ani chwilę nie wątpiła już, że to taż sama, o któréj mówił jéj Moszek.

Teraz strapienie jéj nie miało granic. Czuła, że wychodząc nawet za Moszka, mniéj by się

martwiła, bo pozostałaby jéj jedna pociecha.... miłość Lejby. Teraz i to było jéj wydarte.

Postanowiła, przy pierwszém widzeniu się z Lejbą, osypać go wyrzutami, a następnie zażądać, aby nadal zaniechał widywania się z nią. Ale późniéj duma jéj oburzyła się na samą myśl, że wyrzuty dowiodą tylko Lejbie, jak dalece zdrada jego ją unieszczęśliwiła.

— Nie! zamknę się w sobie, nie powiem mu nic, obojętnością odepchnę od siebie. Unikać go tylko będę starannie, bo czuję, że na widok jego może słabszą bym się okazała, że kłamstwo jego mogłoby wiarę znaléźć we mnie, a ja widziałam ich, widziałam wyraz ich twarzy, jak do siebie mówili. Ach! nie spodziewałam się nigdy takiéj zdrady po Lejbie.

IX.

Na drugi dzień po opisanych wypadkach, w kantorze pana *** ogromne panowało zamieszanie i rozruch. Panu kasjerowi z pod ręki prawie zginął pugilares z ważnemi papierami i pieniędzmi. Interesantów dnia tego było nie wielu, i to po większéj części ludzie znani, na których podejrzenie tego rodzaju prawie że paść nie mogło; służba

była pewna i wypróbowanéj uczciwości; któż więc pugilares mógł wziąść? A jednak daremne poszukiwania na wszystkie strony robiono. Pugilaresa jak nié ma, tak nié ma.

— Trzeba we wszystkich kuferkach zrobić rewizję, — zawołał Moszek i otworzywszy swój, zaczął wyrzucać zeń całe ubranie.

Kasjer, strapiony nie tyle stratą piéniędzy, ile papierów, które nie jego nawet były własnością, niespokojnie przyglądał się wyrzuconym rzeczom Moszka. Jednakże, po przetrząśnieniu całego kuferka, zguba nie znalazła się.

— Lejba! gdzie Lejba? — pytał Moszek.

— Lejba wyszedł gdzieś, — brzmiała odpowiedź.

— Zobaczmy jego kuferek, — zakomenderował Moszek i zaraz zabrał się do dzieła.

Kuferek Lejby był zamknięty, ale znalazł się klucz, którym go otwarto. Wyrzucono zeń wszystko. Na spodzie leżał szukany pugilares z papierami i piéniędzmi.

— Dzięki ci, Boże Izraela! — szepnął uradowany znalezieniem kasjer.

— Czyżby Lejba kradł?—zapytał ktoś z obecnych.

— Cha, cha, cha, niewiniątko, — zaśmiał się Moszek. — Pugilares pana kasjera sam do niego przyszedł.

Na taki argument nie było odpowiedzi.

— Już to ja uważałem, że on od kilku dni kusił się czegoś, chodził jakiś nie swój, jakby mu czego brakowało, i nareszcie wczoraj zapytał mię, czybym mu nie mógł pożyczyć trzech rubli.— A czyż ja mam pieniądze do dyspozycji, — odpowiedziałem mu. — I na cóż to panu trzy ruble?— Na moje zapytanie nic nie odpowiedział, czy téż odpowiedział, ale tak, żem z odpowiedzi téj nic nie wyrozumiał. Tymczasem dziś, kiedy wychodził, widziałem w ręku jego trzy ruble. Zkąd wziął, nie wiem, ale teraz łatwo już odgadnąć.

W téj chwili wszedł pan *** do kantoru.

— Wié pan, co za fatalny wypadek miał u nas dziś miejsce, — rzekł kasjer.

— Cóż to się stało?

— Panu kasjerowi zginął pugilares z pieniędzmi i papierami, i znalazł się w kuferku Lejby, — wyrecytował Moszek.

— Jakto? I kuferek nie był zamknięty? — spytał bankier, ostro patrząc mu w oczy.

— Był zamknięty, ale dobraliśmy klucz, — odpowiedział bez zająknienia Moszek.

— I pugilares leżał w kuferku Lejby?

— Tak jest, — odrzekł znowu, ale z lekkiém wahaniem i spuszczając oczy.

Pan *** zastanowił się chwilę, zmarszczył czoło i powiedziawszy wyrazy: „biada winnemu!“ wszedł do dalszego pokoju. Moszek ręce zatarł z radości. Wkrótce potém dał się słyszéć głos dzwonka z pokoju, w którym zajęty był bankier. Lokaj, usługujący w kantorze, poszedł tam, przez chwil kilka miał tajemną z bankierem rozmowę, w któréj zdawał się coś mu opowiadać, i po niejakim czasie powrócił, mówiąc, iż pan *** przyzywa Moszka do siebie.

— Więc to Lejba ukradł pugilares kasjera? — zakrzyknął gniewnie bankier.

— Tak, proszę pana.

— A pocóżeś wprzódy otwierał jego kuferek?

— Ja? Ja otwierałem kuferek Lejby?

— Jakto? Śmiesz jeszcze powiedziéć, że nie po to, aby tam pugilares włożyć. Co? może nie po to? hę?

— A nie, nie po to.

— Tylko po co?

— Bo tam ubranie moje było.

— Więceś otwierał jego kuferek?

— Nie, nie zupełnie . . . to jest . . . tak . . . otwierałem. Chciałem tylko spojrzéć, czy nié ma tam mego surduta, — mówił coraz bardziéj plącząc się Moszek.

— Nędzniku! więc skradłeś sam, a na innego chciałeś podejrzenie zwalić. Własne sumienie oskarża cię. Precz ztąd natychmiast, nikczemny! Niech więcéj na ciebie nie patrzę, niecnoto!

Bankier zadzwonił i lokaj wyprowadził z pokoju proszącego się i przepraszającego Moszka.

— On sam ukradł i w Lejby kuferek podsunął pugilares, — mówił bankier, ochłonąwszy nieco z uniesienia, do podziwem przejętych podwładnych.

— Kiedy mówił, że Lejba gwałtownie potrzebował piéniędzy, i nawet jego o pożyczenie prosił, ale on, nie mając, dać mu nie mógł. Tymczasem dziś rano widział w ręku jego trzy ruble. To naprowadza na myśl . . . .

— Liczyłeś pan piéniądze po znalezieniu pugilaresu? — przerwał pan ***.

— Liczyłem.

— Dużo piéniędzy brakuje?

— Trzy ruble, — odpowié kasjer.

W téj chwili wszedł Lejba.

— Czy chciałeś od Moszka pożyczyć trzy ruble? — spytał go bankier.

— Chciałem, — odpowié Lejba.

— I cóż?

— Tłomaczył się, że nie miał, więc mi dać nie mógł.

— A jednakże widział u ciebie dziś trzy ruble. Zkądże je wziąłeś?

— Dziś widziéć nie mógł, tylko wczoraj wieczór. Dowiedziałem się, że babka mojéj stryjecznéj siostry, która miała zaszczyt widziéć pana u siebie, zachorowała niebezpiecznie. Potrzeba było jak najprędzéj piéniędzy na doktora i lekarstwo; przyrzekłem wystarać się ich i oddać siostrze mojéj wieczorem w ogrodzie Krasińskich. Ponieważ zkąd inąd wziąść nie mogłem, więc zastawiłem mój surdut i wzięte piéniądze oddałem siostrze.

— Gdzieżeś zastawił?

— Tu niedaleko, w obocznéj kamienicy.

— Za ile?

— Za trzy ruble.

Pan *** dał lokajowi pieniędzy, aby poszedł we wskazane miejsce i ubranie Lejby wykupił. Za chwilę wrócił i przyniósł surdut Lejby.

— Czemużeś do mnie w potrzebie się nie udał? — mówił pan ***, przekonawszy już wszystkich o niewinności Lejby.

— Nie chciałem być natrętnym . . . .

— Pamiętaj na drugi raz, że w takich razach prośby nie uważam za natręctwo.

X.

Było rano. Ogród Krasińskich tylko co otwarto.

Po ogrodzie samotnie chodziła Mirjam. Głowę smutnie zwiesiła na piersi i dumała o swojém nieszczęściu. Zdrada Lejby z pamięci wyjść jéj nie mogła.

— Na téj ławce wczoraj siedzieli i poufale rozmawiali z sobą, — mówiła, siadając na ustronnéj ławie, w bocznéj alei ustawionéj. — Mój Boże! a ja go tak kochałam, tak kocham teraz jeszcze, a on tak czarną odpłacił mi się niewdzięcznością! Lecz cóż to? Woreczek Lejby? Musiał go wczoraj wieczór pozostawić. W woreczku papier jakiś szeleści. Czyby to list? Zobaczmy. Nie, to nowiuteńki trzyrublowy papierek. Biedny chłopak! jak on się musi swoją stratą kłopotać. Trzeba poprosić Moszka, aby mu ten woreczek oddał.

Zajęta tym monologiem, Mirjam, spostrzegła panienkę jakąś, mocno zakłopotaną i widocznie szukającą czegoś na ziemi. Panienka zbliżyła się do ławki, gdzie siedziała Mirjam. Nagle, spostrzegłszy w ręku jéj woreczek, krzyknęła z radości i poskoczyła ku niéj.

— Ach pani! wszak to tu znalazłaś mój woreczek?

— Tu go znalazłam, to prawda, ale ja znam właściciela jego i oddam mu go sama, — odrzekła surowo Mirjam, poznając w przybyłéj tę, któréj widok wczoraj tyle sprawił jéj przykrości.

— Tym właścicielem jest brat mój Lejba, i on to właśnie dał mi wczoraj wieczór woreczek ten z trzema rublami, bo babka moja zachorowała, a my nie mieliśmy za co wezwać doktora i kupić jéj lekarstwa, — mówiła, rumieniąc się, nieznajoma.

— Więc Lejba jest bratem waszym? — zapytała Mirjam.

— A od kogóż innego mogłabym brać piéniądze, jeśli nie od brata? — odrzekła, bardziéj jeszcze rumieniąc się, dziewica. — A wam Mirjam na imię, jeśli się nie mylę.

— Zkądże . . . .

— Zkąd wiem? Z pochwał, jakie codziennie od Lejby o was słyszę; z radości, jaką mi sprawia to, iż go widzę miłością waszą szczęśliwym; ze smutku, jakim mnie napełniała niedawna jego rozpacz.

Bliższe poznanie między siostrą Lejby, a jego oblubienicą, nastąpiło bardzo łatwo i obie zawiązały przyjaźń dozgonną.

*　　*
*

Cóż ci mam więcéj dodać, kochany czytelniku? To chyba, że dziś Lejba i cała jego rodzina żyją najszczęśliwsi. Do rodziny zaliczam, rozumié się, i Mirjam, z którą ślub nastąpi, jak tylko się skończy załoba po ojcu.

Moszek ciężką nędzą i wzgardą powszechną odpokutował za swe przewinienia, nakoniec wyjechał z Warszawy i u jakiegoś rzemieślnika w krwawéj pracy szuka rehabilitacyi i środków zapracowania na życie.

KONIEC.

Nakładem i staraniem autora [illegible]
dziełka wychodzą:

Wizerunki wsławionych Żydów w XIX wieku.

Zeszyt I wizerunków, zawierający biografję

I. Sir Mosesa Montefiore, z drzeworytem Fr. Tegazzo, wyszedł z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach w Warszawie i w Redakcyi Izraelity, po cenie kop. 30.

Znajduje się pod prassą:

II. Achilles Fould, przez Józefa Goldszmit.
